

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 21 sierpnia 1909 r.

№ 34.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

23

Powieść historyczna.

Wtem jakiś głos przytłumiony, nieśmiały zadźwięczał w uszach hrabianki.

Ach, zna ten głos, zna, pamięta, choć to było bardzo dawno... I te oczy skrzące się, zna również... Należy uśmiechnąć się na powitanie, wypada z uprzejmości samej!.. Uśmiechnąć się!.. Lecz jakże trudno to uczynić... Juliusz Gruzewski!.. Słyszała, niezawodnie!.. Juliusz!..

Emilia zachwiała się, ale równocześnie uczuła, że jakieś silne ramię wspiera ją, dźwiga, unosi...

Hrabiankę lek zdjął, lecz wnet rozwiął się, szczeł pod wpływem głosu, który tuż mówił coś do niej, mówił a grzał, ciepłem przejmował, budził...

Emilia otwarła oczy i rozejrzała się ze zdziwieniem dokoła po obcej izdebce, w której się znajdowała.

Zanim atoli zdołała ogarnąć ubogie sprzęty, kominek ceglany, ogień, prychający żwawo po białej korze brzozywych polan, szcerniały pułap, staroświeckie krzesło, w którym spoczywała, puszysty, miękki, ale tchnący dusznym zapachem, szal, który ją otulał,—poraził hrabiankę domysł okrutny, straszny, że wciąż jeszcze przebywa w dworku na Zarzeczcu, iż lada moment usłyszy znów ten sam nieznośny,

szyderczy chrzęst jedwabnej szaty, iż ukaże się jej znów ta twarz pełna, biała, nalana...

Drzwi skrzypnęły. Hrabiankę przejął dreszcz. Ktoś wszedł na palcach do izdebki i zatrzymał się w pobliżu. Emilia przymknęła oczy. Uplynęła chwila. Hrabianka, aby zbyć ostatnią wątpliwość, poprzez zamknięte zasłony rzęs spojrzała i ledwie nie krzyknęła ze zdumienia. O dwa kroki przed nią stał Gruzewski.

Ten ostatni w lot pochwycił odruch Emilii.

— Jak się pani czuje?

— Więc to waćpan... waćpan? Tutaj... bo nie orientuję się...

— Spotkałem panią na placuku przed Bernardynami... Była pani tak osłabioną, że poważyłem się panią doprowadzić do tego zajazdu... Ale pani cierpi... Może wezwać medyka?...

— Nie, nie trzeba. Nic mi nie jest. Znużenie i tylko znużenie. Szłam, a raczej wracałam... powietrze mnie odurzyło. Proszę darować, że mu tyle kłopotu przyczyniłam.

— Mnie, mnie... panno hrabianko?..

Emilia spojrzała smutnie ku bużującemu na kominku głowniom.

— Dziękuję waćpanu. Wiem, iż mi nie skąpisz przyjaźni. Rada

jestem, że przypadek ciebie a nie kogo innego sprowadził. Zachowaj to spotkanie nasze przy sobie... Mogę polegać?..

— Ależ, panno hrabianko, naj-sroźszej tajemnicy może być pani pewną!

Emilia próbowała się uśmiechnąć.

— Jeno—dodał Juliusz— należy baczyć na zdrowie, cierpienia nie lekceważyć...

— Nie lekceważyć!

— Tak, bo nieraz z błahego niedomagania ciężka wywiązuje się choroba. Pani drży?

— Nie, nic mi. Nasuń waćpan szala. Tak, dziękuję.

— A zdrowie odzyskać potem trudno.

— Gdybym je nawet utraciła!.. Cóż mi zeń dzisiaj!.. Waćpan tego nie rozumie?.. I słusznie... Świerk samotrzeć ku niebu strzela. Powój szukać musi oparcia, inaczej na wieczne czołganie się jest skazanym, na zamieranie. Życie kobiety jest dolą powoju; moje jest już dolą tego powoju, któremu ostatnią wydarto oścień, któremu już jeno pełzać wolno po ziemi i tylko po ziemi...

— Mościa hrabianko, a czyż nie lepiej, nie szczęśniej, miast cudzą mocą w zachmurza poglądać, trwać o własnych siłach! Pełzać

po ziemi! A czyż ta ziemia nasza, rodzona, nie jest i świerków żywicielką? Nie śmiem tknąć pani udźrzeceń, nie śmiem dociekać przyczyny bólu, który cię łamie, ale do twych własnych słów się odwołam.. Powiadałaś, mościa hrabianko, gdym raz ze smętkiem moim się zdradził, że my wszyscy, wobec innych ludów, jesteśmy bogaczami, ile że na dnie serc posiadamy skarb nad skarbami, bo pragnienie wielkie, święte. Że dość nam wspomnieć nań, aby wszelka żalność osobista spławiła się w zniczu podniosłych zadań. Tak powiadałaś, mościa hrabianko, nie czyniąc żadnych wyjątków dla płci.. A dziś, a teraz, gdy twemi wskazaniem silny rwałem się do Liksny, aby zwiastować ci nowinę promienną... spotykam cię przynębioną cierpieniem... A Bóg mi świadkiem, lżej by mi było samemu najokrutniejszej zażyć męki, niż panią oglądać zasmuconą.

— Wiem, żeś mi waćpan życzliw. Mówisz o nowinie promiennej. Dla mnie niema takiej, bo nie ma odzewu, nie ma echa w ogłuchłym sercu.

— W ogłuchłym!—podjął Juliusz.—Prawda, serce kobiety może i ma prawo być głuchem i bywa głuchem... lecz serce polki nigdy!

— Polki... polki?!—powtórzyła przeciągle Emilia, jakby usiłując przypomnieć sobie znaczenie zapomnianego wyrazu.

— Tak... a tyle dla tego wła-

śnie serca jest dziś wesela, tyle radości, że dość się ku niemu zwrócić, aby pełną odetchnąć piersią, aby rozchmurzyć oblicze, aby błogostawić życiu, któremu danem jest takiego doczekać momentu!

Hrabianka rozwarła szeroko oczy.

Juliusz dalej mówił. Mówił znów cicho, nieśmiało, zawile, głos mu przygasał.

Emilia poglądała nań z zafasowaniem, z natężeniem, daremnie próbując zrozumieć, co do niej mówił.

Nagle ciemne oczy Grużewskiego na węgle się rozpalily, głos pełniej uderzył.

Emilia poruszyła się niespokojnie.

Juliusz teraz jakby rósł, dźwigał się, męźniał, olbrzymiał.

Hrabianka mocniej się weń wpatrzyła, niby na rozproszenie uroku, który ją naszedł, gdy wtem z rozlśnionych oczu Grużewskiego grom w nią uderzył i jednym zygzakiem błyskawicy rozdarł mroki, spowijające duszę Emilii.

Hrabianka porwała się z krzesła.

— Boże! Co waćpan powiadasz!..

— W Warszawie rząd narodowy rozkazuje. Gwardye uchożdzą z wielkim księciem. Kto żyw za broń porywa! Za szkołą podchorążych cały naród poszedł. Chłopi obwołany dyktatorem! Wódz

nad wodze, bohater saragoski. Z bagnetem w rękę powiedzie nasze regimenty tu, do nas, na Litwę, na Inflanty, aż do Batorowych kresów! Od trzech dni tu popłoch. Kłamstwami o błahych rozruchach, chciano zrazu tumanić, lecz wieść nie dała się kordonami otoczyć... i bieży, rozlewa się, drogę toruje naszym żołnierzom, naszym sztanदारom!

Emilia chwyciła Juliusza za ręce.

— Mów waćpan, powiadaj jeszcze! Więc to nie sen, więc stało się nareszcie! Życie mi wracasz! Nigdy waćpanu nie przestanę być wdzięczną! Nigdy!

Grużewski pochylił się do rączek hrabianki. Emilia nie bronila ich całunkom.

— Tak, tak, masz waćpan słusność! Ani jednej sekundy uronić nam nie wolno, wszystkie myśli, wszystkie siły wyteżyć należy, wszystkie troski powszednie złożyć na ołtarzu! Bóg waćpana natchnął, Bóg cię zesłał! Patrz, a jam traciła ufność, jam bluźniła, bom poddała się samolubnemu żalowi!.. bom zwątpiła, aby życie moje przysięść się na coś mogło! Tyżeś mnie zbudził!..

— Mościa hrabianko — rzekł cicho Juliusz, cisnąc w drżącym ujęciu rączki Emilii, jest to zasługą tych ziarn, które rzuciłaś w kłoniące się ku tobie serce!..

— Waćpan płaczesz?..

— Ze szczęścia, hrabianko.

DCN.

Władysław St. Reymont.

MARZYCIEL.

30

Musi mi pan przebaczyć... nie odejdę, będę błagać choćby do rana... Odbiorę sobie życie, jeśli mi pan nie daruje!—prosiła cichutko wyciągając do niego ręce. Burnus osunął się na ziemię, została tylko w koszuli i we łzach, spływających aż na piersi.

— Co pani robi! Zawołał strasznie zmieszany, usiłując ją podnieść—Ależ ja się nie gniewam, było mi tylko przykro. Przecież Frania nie

jest moją kochanką! Co pani jest? Przyjeżdżała reparować bieliznę. Pani Zofio! Jezus Marya! Bełkotał przerażony, gdyż leciała mu przez ręce omdlała. Zaniósł ją na łóżko i tak troskliwie trzeźwił, rozcierał jej skronie i zlewał kolońską wodą, aż otworzyła oczy, westchnęła ciężko, powiodła błędnem spojrzeniem po pokoju i raptem się podniosła.

— Boże, co się ze mną dzieje?

Gdzie ja jestem? Czy aby mnie kto nie zobaczy!

— Nie, przecież to pierwsze piętro. Czy pani już lepiej?

— Tak mnie razi to światło lampy... może pan zgasi. Wody! słabo mi! Zajęczała znowu.

Zdmuchnęła światło. Napila się wody i przytuliwszy głowę do jej piersi szepnęła:

— Tylko trochę odpocznę i zaraz sobie pójdę... zaraz... zaraz...

— Nie zaraz... nie, nie... zostaniesz...—mówił coraz ciszej, czując, że obejmują go nagie ramiona i jej gorące, rozpalone usta żarłocznie szukają jego ust.

Posepna, szara noc marcowa zaglądała oknami; niekiedy zadygotały ściany i zahuczał przelatujący pociąg, niekiedy głucho uderzył dzwon stacyjny i schrypnięte świsty maszyn przedzierały się przez szyby.

A w pokoju zalegało milczenie pełne wrzających szeptów, pocałunków, nieprzytomnych śmiechów i westchnień.

Józia ogarnął chaos i pograżał jakby w odmęt cudownego szaleństwa; cały świat zniknął mu z pamięci a równocześnie wszystko, za czym tęsknił i marzył, zaczynało się stawać jakąś półsensną rzeczywistością, jakąś jawą i urojeniem, czemś co było widomem, a zgoła niepojętem, już mu się bowiem wydało, że jakiś pociąg unosi go z szaloną szybkością gdzieś daleko, daleko... a oto biała księżniczka spłynęła mu w ramiona i tuli głowę do jego piersi; że to jej wrzące szepty, jej ogniste pocałunki, jej uściski; że to jej płomienne ramiona go ogarniają i unoszą aż pod gwiazdy roztląte w nieskończonościach.

— Czekałem na ciebie zawsze! Kochałem cię zawsze... Zawsze... zawsze! wołał nieprzytomny. I tamtą wyśnioną miał w zgorączkowanych oczach, tamtą wielbił i tamtej oddawał się z takim namiętnem uniesieniem, aż Soczkowa, porwana siłą jego temperamentu, krzyczała w dzikim, bezprzytomnym uniesieniu:

— Boże, ja umrę! ja oszaleję! ja się wścieknę!

— I tak tęskniłem za tobą, i tak cię kochałem!..—powtarzała zamierającym głosem.

— Kochałeś mnie! Kochałeś! Ja od pierwszego widzenia, pamiętasz? Nie mogłam potem spać... całe noce myślałam o tobie.. Tak strasznie cię pragnęłam... aż nieraz darłam pazurami ściany... rozumiesz, ty smoku! ty ludojadzie,

ty mój mężczyzno, ty mój dyable najdroższy!

Szalała wśród nienasyconych pieśczoł i pocałunków.

Ale Józio nieprędko usłyszał jej szepty i nierychło pojął, co się z nim dzieje. Dopiero, kiedy zapaliła lampę i ujrzał ją przy sobie, wtedy zrozumiał całą nędzę rzeczywistości. Jakiś gryzący wstyd ścisnął mu serce, ale jeszcze nie wiedział, czy więcej się wstydzi tego, co mu się tylko zdawało być, czy też tego, co się stało, co było...

Siadła przy nim na łóżku i zaplatając swoje bujne włosy, paplała takie głupie i ohydne anegdoty, że patrzył na nią z coraz większym zdumieniem i odrazą—wydała mu się teraz ordynarna i wstrętna.

— Skąd pani wie takie rzeczy?

Nie mógł już znieść nawet jej głosu.

— Cóż ty sobie myślisz, że kobiety nawet nie wiedzą, gdzie białe raki zimują?

— Ależ to świństwo!

— Myślałam, że i ty lubisz wesołe kawały! Wszyscy je lubią... przecież takie śmieszne...

— To dobre dla kolejarzy i w szynku, ale nie dla kobiet!

— E, kiedy Józio taki niegrzeczny, to Zosia swoje gałganki pozbiera i pójdzie się bawić na inne podwórko!—zadąsała się, udając małą dziewczynkę.

— Pierwszy raz w życiu słyszę coś podobnego od kobiety!

— Kiedyś taki, to już naprawdę sobie pójdę!

Poczuła się nieco dotkniętą.

— To plugawe, obrzydliwe i wstrętne!—wybuchnął, nie mogąc się już pohamować.

— A Józio taki niedobry i taki niewdzięczny, że Zosi jest bardzo przykro, bardzo... Niech ją za to przeprosi, no prędko i mocno! Zaszczębiotała, okrywając go pocałunkami.

Tak wrogo spojrział na nią, że odskoczyła od łóżka, narzuciła burnus na ramiona i stanęła przerażona, z zapartym tchem, a nie dociekawszy się ani słowa, padła mu na piersi z wesołym chichotem. Była przekonana, że on udaje i tylko dla kawału robi takie srogie miny.

Pozwalał się całować z ledwie już ukrywanem obrzydzeniem i wreszcie, aby się jej pozbyć jak najprędzej, zdobył się na jakieś zdawkowe słowa i czułości. Uwierzyła i niezmiernie znowu szczęśliwa całowała go tem ognistociej.

— Muszę już uciekać! On wraca o trzeciej! Boże, jak mi ciężko się oderwać!—wykrzykiwała zadyyszana.—Jeszcze w oczy... wydrę ci je, jak spojrzysz za inną! Jeszcze w usta! Przyciśnij mnie! Mocniej! Jeszcze! Jeszcze! Kocham cię! Do widzenia mój złoty ryjku! A nie smuć się! Nie tęsknij już! Przyjdę do ciebie jutro, i pojutrze, i codzień! Pa, mój skarbie, pa!..

— Ani jutro, ani pojutrze, ani nigdy!—miał straszną ochotę krzyknąć za nią.

Zamknął drzwi na dwa spusty, zgasił lampę i położył się spać.

Noc otuliła go szarawym mrokiem, ale nie zasnął, był za bardzo przemęczony i znerwowany, a przytem za oknami nieustannie dudniały pociągi: leciały wciąż, leciały ze wszystkich stron i na wszystkie strony, przelatywały jakby zdyszane i zgorączkowane, błyski latarii parowozowych migotały po suficie a głucho łomot wstrząsał ścianami, aż brzęczały szyby i dygotała lampa.

Józio rozpamiętywał wszystko, co się stało i w jakimś mgnieniu zgrzyoty, żalów i wyrzutów sumienia zajęczał rozpaczliwie:

— Jak ja mu teraz spojrzę w oczy? Jestem ostatnie bydło! Ostatni idyota!

I tak rozmyślając gorzko nad sobą, zasłuchiwał się bezwiednie w głucho dudnienia pociągów i znowu zwolna zapominał o rzeczywistości, aż zbudziły się w nim i porwały go w otchłanne wiry stare, nieukozone tęsknoty i marzenia za tamtą wyśnioną, za tamtą, która w tej chwili nie miała już żadnej nazwy, ni oblicza, ni nawet kształtów, a której może nawet nigdy i nigdzie nie było na świecie—bezbieżna tęsknota za jakimś bujnem, innym życiem, i za jakimś wielkim i potężnym kochaniem...



STRATONIKA.

Fragment z helleńskiej romantyki.

Głęboka cisza zaległa dokoła pałacu króla Seleuka w Antyochii, głębokie milczenie panowało w laurowych gajach nad Orontem, śpieszącym z okolic poświęconego Baalbeku w lazurówce objęcia Fenickiego morza. Cisza i milczenie napępiały marmurową siedzibę Seleuka, albowiem umierającym był syn jego, Antyoch — ginął w męczarniach choroby nieznannej.

W komnatach syryjskiego króla, niby cienie, bezgłośnie przesuwali się ludzie i szeptem wiedli ze sobą rozmowy. Nawet zasłony u drzwi rozsuwano ostrożnie i powoli, aby przy zetknięciu z mozaikową, z cennego kamienia układaną posadzką, nie przyczyniały zbytniego szelestu i ażeby złożone pierścienie, nawleczone na kije ze srebra, sandału i hebanu, które podtrzymywały zasłony, czyszy zbyt głośnym nie raziły dźwiękiem.

Jeno od komnat królowej Stratoniki, przewspaniałej córki macedońskiego króla Demetra, dawał się słyszeć niekiedy rozgwar i ruch tłumionego życia. Na poły zdławione wykrzyki i westchnienia, zduszony śmiech i płacz niecierpliw zdradzały częste kłótnie azyatyckich niewolnic z greczynkami, służebnymi asyryjskiej królowej.

Dnia pewnego podobna zwada, rozpoczęta w przedsionku gineceum, została nagle przerwana. Szelest powłóczystych szat, niby poszum skrzydeł ptaka, wdarł się w hałaśliwe gro- no służebne. Zasłona u drzwi, wiodących na pałacowy kurytarz, obwieszony kolumnami, została niewidzialną dłonią odrzucona — i Stratonika stanęła na porfirowym progu.

W długiej, czarnej babilońskiej szacie, nie ujętej pasem, przetykanej purpurą złotoskrzydłych lwów w perł koronie, opływającej wielkimi fałdami smukłe jej ciało, w zorzy młodzieńczego powabu i majestacie idealnej doskonałości najczystszej piękna — królowa zdała się statua grecką, ubraną w symboliczne oznaki barbarzyńskiego bożyszcza. Twarz jej miała matową błądź słońcовой kości. Nad szlachetnie sklepieniem czołem wita się gęstwa hiacyntowych włosów, i rozdziałając się na dwie wielkie fale, podtrzymywane zlekka wążką przepaską z opali, w tyle głowy w wonną łączyła się kaskadę i opadała w fałdy modrego, przejrzystego, zsuniętego napoły zawoju, obrzeżonego srebrną nicią, zro-

szonego perłami i rozgwieżdżonego skrami szafirów.

Nagła owładnięta niemocą, Stratonika wsparła się na podstawie ogromnego, wieloramiennego świecznika, wyrobionego z złotego metalu na podobieństwo drzewa, na którym bajeczne ptaki z rozpostartymi spoczywały skrzydłami, a dzioby ich rozwarte były, jakoby w śpiewie nieustannym. Z głową przechyloną w tył stała królowa bez ruchu, niby obraz niemego smutku i boleści. Poza nią przez uchylone drzwi uniosły się od gineceum modre obłoki w złotych pan- wiacz palonych wonności; chwiały się ogromne, z nad brzegów Indu i Gangesu przywiezione kwiaty, podobne motylom, kołyszącym się na łodygach, wygiętych wdzięcznie jak szyje łabędzie; błyszczwały wazy i lampy najfantastyczniejszych konstrukcyi, lśniły bóstwa obcych krain — a wszystko to zdobyte zostało przez helleńskich zwycięzców w posępnych cieniach pałaców i świątyń, ze skrzyń i grobów w odległych ziemiach dawno zamarłych kultur — w miastach pełnych cudów i tajemnic, wiszących niby obłoki śnieżne na wysokich wierzchołkach ametystowych gór, świecących na złotych piaskach pustyń, albo przeglądających się w falach bystro rwących rzek. Pałac Seleuka był bezdenną onych bogactw skarbnicą i rozsypywał je szczerze na wszystkich nawet przedsionkach, schodach i kurytarzach.

Na przeciwnym końcu kolumnady pojawił się teraz mąż w perskiej szacie i wspierając się na wysokiej lasce ze słońcовой kości, krocył powoli. Mitra jego świeciła srebrem i błękitniała turkusami, był to bowiem jeden z wysokich dygnitarzy dworu. Spozstrzegłszy królowę, przystanął i pokłonił się tak głęboko, że zdawał się czołem dosięgać posadзки. Stratonika podniosła zmęczone powieki, a tęskne, wilgotne, ciemne jej źrenice zapłonęły życiem.

— Przyjechał? — zapytała porywcz.

— Masz na myśli, o pani moja, onego greckiego lekarza, w którym król i pan nasz wszystką pokłada nadzieję... — począł zwolna mąż przybyły.

— Tak! — zawołała żywo — mówię o Erazystacie! Posłyszałam w domu ruch jakiś niezwykły... Więc przyjechał nareszcie?

— Tak jest, królowo! Mąż twój, pan nas wszystkich, obecnie z nim wiedzie rozmowę.

Stratonika, nie czekając dalszych objaśnień, śpiesznie przebiegła kurytarz. Nie bacząc na dygnitarza, nie widząc zdziwionych i przerażonych postaci straży królewskiej i sług, czekających w przedsieniach na rozkazy pana, niepomna na wszelkie zwyczaje i obrzędy dworskie, otworzyła bronzowe podwoje królewskiej komnaty i na progu jej stanęła.

Seleuk na niskim siedział krześle. Wysoka jego postać była zgarbiona, twarz w dłoniach ukryta; włosy, przyprószone siwizną, gęste i długie, spływały mu z ramion na piersi i gubiły się w załamaniach ciemnego płaszczu. Naprzeciw niego siedział lekarz Erazystros, wiekiem królowi równy. Twarzy jego nie mogła dojrzeć Stratonika, gdyż tyłem zwrócony był ku drzwiom, przy których się zatrzymała. Obydwaj zresztą mężowie zdawali się nie spostrzegać jej przybycia. Król trwał w milczącym zadumaniu — lekarz zaś prowadził dalej swój wykład o odżywianiu ciała według badań Hipokratesa. Tonem mentora wygłaszał swoje objaśnienia, które były zapewne odpowiedzią na jakoweś przez króla uczynione zapytanie:

— Mięso zwierzyny jest daleko mniej soczyste, aniżeli mięso zwierząt domowych; tych, które karmią się owocami, mniej soczyste znów od tych, które żywią się trawą; czarnych zaś mniej, aniżeli białych...

Królowa straciła wszelką cierpliwość oczekiwania, i postępując ku nim, zapytała nagle:

— Jakąż nadzieję czyni Erazystros? Co zamierza?..

Zmieszana własną śmiałością, umilkła.

Na dźwięk jej głosu lekarz powstał, zwrócił się ku przybyłej i Stratonika ujrzała jego twarz. Drżąca podbiegła do małżonka swego, i jak płochliwa gołąbka tuląc się ku niemu, pytała w lęku ogromnym:

— Jestże ten mąż Erazystratem? Jego wezwałeś do łóża syna swego? Od niego oczekujesz ratunku dla nas i dla siebie?..

Król potakiwał głową w odpowiedzi, a kiedy zdziwiony trwożnym brzmieniem jej głosu zapytał o po-

wód jej wzruszenia i lęku, z jakim w oblicze lekarza się wpatrzyła, Stratonika wyprostowała się nagle i rzekła głosem stanowczym:

— Nie! nigdy nie dopuszczę, by ten oto lekarz leczył Antyocha!

Zdziwienie obu mężów spotęgowało się jeszcze bardziej.

— Co znaczy to dziwne twoje zachowanie się i lęk twój niedorzeczny?—pytał Seleukos, gładząc jej włosy z uśmiechem ojca, uspokajającego rozkapryszone dziecko.

— Sen dał mi przestrozę — odrzekła cicho, wpijając się oczyma w próżnię, jakby łowiła w niej rozprzeczłe sny widziadła. Piękna jej twarz zniechęcała wielką powagą—tylko w promiennych jej oczach, smutkiem powleczonech, świt jakowyś szczęśliwości, niby blask miesięczny się rozpyłał.

— Sny nasze kłamią—począł król głosem niezdecydowanym, jak gdyby się wahał pomiędzy wygłaszanem twierdzeniem i jakowąś myślą utajoną, z mniejszą stanowczością, przeczącą zabobonom.

— Sny pochodzą od bogów! — z mocą rzekła Stratonika.

— Jakież to był on sen, który śniłaś, królowo?—zapytał lekarz.—Kto wie, czy znaczenie, jakie sama nocnemu nadajesz widzeniu, jest prawdziwe?

Stratonika, wspierając głowę na ramieniu stojącego małżonka, niewysłownie powabna w onem dziecięcym niemal oddaniu się słabej istoty w opiekę męskiej sile, głosem śpiewnym, głębokim i słodkim poczęła opowiadanie:

— Śniło mi się, że na brzegu morza stałam, a morze było modre i jasne. Fale, leciuchnym pobudzone wiatrem, wznosiły się powoli, rosły ku wyżynom, jakoby za słońcem w tęsknocie, przeginały się wdzięcznie i spokojnym rytmem pochwalnej pieśni opadały z powrotem do głębin, które tworzyły same, pnąc się ku wyżynom, gdzie rozpryskiwały się w pereł białych wodospady. Bezustannie powstawały tak ze swoich grobów, aby bezustannie zapadać w nie z powrotem. A szum ich był słodki i kojący...

— Czyliż nie jest ten ich rozgwar nieprzerwany niejako wiecznym jednego i tego samego słowa powtarzaniem—myślałam we śnie, i opanowała mnie ciekawość odgadnąć ono słowo, którym szumiało morze. A kiedy tak długo stała zasłuchana, zdało mi się, że fale ciągle imię „Antyochos“ śpiewały ze szczególnym na ostatniej

syllabie akcentem, która końcowem „s“ dźwięczała przeciągle, niby silny, zamierający zwolna świst wiatru. Co to ma znaczyć?—zapytywałam siebie w najwyższym zdumieniu. Dlaczego morze jego imieniem jeno rozszemrane? Odwróciłam oczy od brzegu, gdzie rytmicznie rozpryskiwały się fale i poglądałam w dal modrą, bledniejącą na skraj widnokręgu w białej mgłę.

Z powodzi onych mgieł wypłynęła nagle wielka łódź, cała purpurą kryta—a w niej postać ludzka, w czarne otulona zawoje, siedziała pochylona nad złotem naczyniem, które na kolanach jej spoczywało. Jako nasze pojęcie o przeznaczeniu, wspaniały i tajemniczy był wygląd onej postaci. Szum rozkołysanego morza śpiewem teraz rozbrzmiewał chóralnym,—albowiem fale przybierały zwolna kształt ludzkich postaci, i w długie, śpiewne złączone korowody, towarzyszyły tajemniczej łodzi. Błękitne rozsnuwając zawoje, korony perłowe i wieńce na korab rzucały milczący, który od nich białością i blaskiem się rozświecił. A morze jęczało bez przerwy końcówę syllabę imienia „Antyochos“, zmieniając swe poszumy w głębokie, przejmujące dźwięki fletni.

— Wszystko to podobne obrzędowi pogrzebu wielkiego bohatera—szepotało mrące z trwogi moje serce.

Brzegi poczęły się zaludniać nagle tłumami, śpieszącymi od wschodu i zachodu, północy i południa, a wszystkie usta tych nieprzeliczonych zastępów powtarzały znów to jedno, jedyne imię, które wichrem i grzmotem ku niebu się niosło: „Antyochos!“—Gdzie on? gdzie on?!—wołało lękiem uciśnione serce, gdy wtem łódź zatrzymała się u brzegu. Postać, siedząca w niej, podniosła się, a odrzuciwszy ciemne, otulające ją zawoje, stanęła przede mną, podając mi naczynie, które dotąd spoczywało na jej kolanach. A naczynie ono—była to urna złota...

Cóż mogła skrywać w sobie, o królu, ta urna złota, którą mi podał on mąż tajemny jako odpowiedź na pytanie moje?... Popioły twego syna!.. jeno popioły syna twego. O białe! Ten mąż, stojący przede mną, ten mąż, niosący z sobą popioły Antyocha, mąż ten, o królu, był podobizną tego, którego po raz pierwszy w życiu oglądam: lekarza Erazystrata...

Seleuk, drżący, z niepokojem w dawnego przyjaciela swego się wpatrywał, na którego i królowa swoje łzami zamglone zwróciła źrenice.

Erazystros trwał chwilę w milczeniu, poczem nie bez uśmiechu zapytał:

— Czyś otworzyła, królowo, ziołte ono naczynie? Jesteś zupełnie pewna, że w niej spoczywały popioły syna twego męża?

— Groza i boleść zbudziły mnie—odrzekła Stratonika, podnosząc opuszczone ku ziemi źrenice.

— A zatem snu twego nie dośniłaś, pani! Jedyne moje widmo mogło cię być o zawartości onej urny objaśnić. Rozpłynęło się jednak wraz z nocą, która je zrodziła, i przepadło na zawsze. Wierzę, że wróżebne być mogą niektóre sny, ale często błędne wyciągamy z nich wnioski, szukając w nich jedynie myśli naszej potwierdzenia. I dlatego to, królowo, nie obstawaj przy twierdzeniu swoim. Nie odpędzaj mnie od łóża chorego, któremu może ratunek przynoszę. Możesz zwątpić o mej nauce, albowiem całą wiedzę ludzką sam darzę niekiedy zwątpieniem, ale nie wątp w mądrość dla króla Seleuka, przyjaciela mej młodości; nie wątp w gorliwość mą i dobrą wolę! A teraz podaj mi swą rękę i sama do chorego mnie prowadź. Zapomnij na chwilę o widmie snu i spójrz w moje żywe własne źrenice. Czy jest w nich coś, co trwożę w tobie budzi?..

Stratonika, zapatrzona w te jasne błękity jego oczu, tak pełne dobroci i słodczy, bezwolnie dłoń wyciągnęła ku niemu.

— A więc... ostateczne wytlómaczenie swego snu odkładasz, pani?—zapytał lekarz z łagodnym uśmiechem, jakim darzymy dzieci.

— Tak!—westchnęła, przyzymkając oczy.

I jak gdyby nagle ulga wielka w serce jej spłynęła, poczęła cicho i radośnie:

— Lęk mój ustąpił miejsca jakowejś ufności i nadziei. Błogosławione niechaj będzie przybycie twoje do domu tego, jeśli bogowie posłali cię, aby nas ocalić.

Poczem śpiesznie oddaliła się z komnaty.

Seleukos ujął dłoń lekarza i nagiął, aby ten z nim natychmiast do syna pośpieszył.

— Syn twój śpi—odrzekł spokojnie Erazystros.

— Nie trzeba go budzić. Zanim do niego pójdziemy, opowiedz mi tymczasem cały przebieg onej choroby.

Zatem przeszła szybko przez werendę do swego pokoju i zamknęła okno za sobą.

Śniadanie zaniesiono do jej pokoju. Jadła w samotności i tylko późno po południu zeszła na werendę. Odłożyła swój zamiar spędzenia godziny w kościele. Powiedziała księdzu Roubier, iż ma coś z sobą rozważyć. Kiedy go opuściła, ciężar na jej duszy wzmógł się jeszcze, i wtedy zatęskniła do samotnej ustronności w mroku blisko ołtarza. Tam, być może, odrzuci ten ciężar, który ma na duszy.

Na werendzie stała przez chwilę i myślała, jak cudownie odmienną była chwila zachodu słońca i wschodu w tej krainie. Patrzała w kierunku, skąd szedł złoty, do snu podobny czar zachodu, i naraz w jego świetle ujrzała Androwskiego w oddali, jak stanął przed drzwiami księdza. Patrzając tak, ujrzała, jak drzwi zostały otwarte przez chłopca i jak Androwski wszedł w nie.

Wtedy już myśli jej rozplynęły się w złotym uczuciu zachodu. Z wyrazem promiennym oczu zeszła z werendy i skierowała się ku kościołowi. Był on pusty o tej porze. Podeszła zбожно do klęcznika koło ołtarza, uklękła tam i twarzą ukryła w dłoniach.

Wciąż klęcząc tak, Domini zaczęła myśleć i modlić się. Wspomnienie jej modlitwy do Matki Bożej Nieustającej Opieki na wstępie do Afryki wróciło teraz do niej. Zanim poznała jeszcze Afrykę, modliła się za ludzi wędrownych, być może nieszczęśliwych, za ludzi, których prawdopodobnie nigdy już nie miała oglądać, ani nigdy poznać. Teraz znowu, kiedy jej obcowanie z tym krajem stało się bardziej zażyłem, kiedy zrozumiała już trochę z jego uroków i z jego niebezpieczeństw, modliła się za człowieka, którego znała, który był w pobliżu niej, czyniący ofiarę ze swych uprzedzeń, ze swych być może obaw, na jej żądanie. Modliła się za Androwskiego bez słów, czyniąc ze swego uczucia wdzięczności modlitwę dla niego — i oto, w ciemnym obramowaniu rąk swoich, zdało się jej, że widzi raz jeszcze Wolność, jak ongi w cieniach domu tanecznego, stojącą obok z tym człkiem, który się modlił tam daleko w chwale blasków pustyni. Burza, o której mówił wróżbita, nie zawsze szalała. Uciszyła się, by słyszeć jej modlitwę. Imro-

ki opadły, i światło podplynęło blisko, żeby ją słyszeć.

Przycisnęła silnie ręce do czoła i myśleć poczęła w kierunku bardziej określonym.

Miałałby ta rozmowa Androwskiego z księdzem być pierwszym krokiem, uczynionym przez Androwskiego w kierunku darów, jakie mu niesie pustynia?

Był on oczywiście człowiekiem, który nienawidził religii, lub mniemał, iż jej nienawidzi.

Patrzył on na nią, być może, jak na więź, nie jak na młot, który rozkuwa i wypuszcza na wolność niewolnika.

A jednak nosił krzyż.

Uniosła głowę, wsunęła rękę na pierś i wyjęła krzyż.

Jakie były dzieje tego krzyża?

Położyła go na skraju klęcznika.

Czerwony ogień jarzący rozplonął teraz w oknie kościołka. Uprzytomniła sobie widzenie, które szło teraz z zachodu, pasyę światła i razem czystość, która leżała za światem. Dusza jej była zmacona.

Przeniosła wzrok z blasków krwawych szkła na ciemno-brunatne drzewo krzyża. Krew i agonja uczyniły go symbolem mistycznym tego, czem był. Krew i agonja.

Miała z sobą coś do rozważenia. Ciężar był wciąż na jej duszy i wagę jego czuła obecnie, wagę, której rozmowa z księdzem nie ujęła. Nie była bowiem zdolną do zupełnej szczerości z księdzem. Coś ją powściągało od całkowitej otwartości, a i on także na skutek tego nie powiedział wszystkiego, co miał na myśli. Słowa jego były nieco luźne, przygodne, ona atoli zrozumiała treść, która pod niemi się kryła.

Tak jest, oczywiście. Ostrzegał on ją przed Androwskim, i hrabia Anteoni ostrzegał ją także przed Androwskim. Byli to dwaj ludzie całkiem odmiennego rodzaju. Jeden — niedoświadczony światowo, jak dziecię. Drugi — znający świat i ludzi. Żaden z nich nic nie wiedział o istotnym życiu i przeszłości Androwskiego, i obadwaj ostrzegali ją przed nim. Był li to instynkt, który przemawiał przez nich, który im świadczył o nim, jako o człowieku, którego należy unikać, a nawet może bać się? A instynkt jej własny? Co on jej powiada?

Długo pozostała w kościele. Lecz nie mogła ani myśleć jasno, ani rozumować spokojnie, ani nawet modlić się gorąco.

Powstała z klęczek, ukryła raz jeszcze krzyż drewniany na piersi i wyszła na tchnienie wieczoru.

Kiedy opuściła drzwi kościelne, znowu coś nastąpiło, co uczucia jej bardziej skupiło. Oto trafiła na Androwskiego i na księdza. Stali razem od wewnątrz furtki, która tuż za tem otworzyła się przy towarzyszeniu radosnych poszczekiwań ze strony Bu-Bu. Obadwaj wyglądali bardzo dosadnie przejęci, jak gdyby obadwaj czynili wielki wysiłek nad sobą.

Zatrzymała się w mroku, żeby przemówić do nich.

— Pan Androwski był tak u przejmny i złożył mi wizytę — rzekł ksiądz Roubier.

— Cieszę się bardzo — powiedziała Domini. — Wszyscy tu winniśmy być przyjaciółmi.

Była chwila nieporęczna milczenia. Zatem Androwski uniosł kapelusza.

— Do widzenia pani — rzekł. — Do widzenia, księże.

I odszedł prędkim krokiem.

Ksiądz spojrzął wślad za nim i westchnął głęboko.

— Ach, pani, pani! — zawołał, jakby pragnąc czempredziej wynurzyć się przed kimkolwiek: — Co się z tym człowiekiem dzieje? Co się? dzieje z tym człowiekiem?

Utkwił wzrok w mroku za znikającym kształtem Androwskiego.

— Z kim? Z panem Androwskim?

Rzekła spokojnie, lecz myśl jej była pełna przejęcia i spojrzenie badawcze rzuciła na księdza.

— Tak jest. Co to może znaczyć?

— Ale co? nic nie rozumiem. — Poco on tu przyszedł do mnie?

— Ja go prosiłam, żeby przyszedł.

Powiedziała te słowa, nie wiedząc dlaczego, czując tylko, że musi mówić prawdę.

— Pani go prosiła?

— Tak jest. Chciałam, żebyście panowie byli przyjaciółmi... i sądziłam, że może ksiądz zdoła..

— Ach, tak!

— Chciałam, żebyście panowie byli przyjaciółmi — powtórzyła to prawie z uporem.

— Nigdy jeszcze dotychczas nie czułam się tak złowieszczą z żadnym człowiekiem — zawołał ksiądz, mocno poruszony. — Cały czas mówiliśmy o rzeczach całkiem obojętnych i przez cały czas czułam, jak gdybyśmy uczestniczyli w jakiejś

wielkiej tragedii. Kim jest ten człowiek? Kim może on być?

Wciąż patrzył na drogę, na której zniknął Androwski.

— Nie wiem. Nic nie wiem. Jest on podróżnym, jak wielu innych, którzy podróżują.

— O, nie! nie!

— Cóż tedy sądzi ksiądz?

— Sądzę, iż inni podróżni nie są podobni do tego człowieka.

Oparł ciężko swe chude ręce na furtkę, i Domini z wyrazu jego oczu wyczytała, iż chce jej powiedzieć coś niezwykłego.

— Pani—rzekł, zniżając głos.— W poprzedniej rozmowie naszej nie byłem z panią całkiem otwarty. Mogła pani rozumieć, com miała na myśli, ale mogła pani i nie rozumieć. Obecnie powiem to pani w pełni. Jako kapłan, ostrzegam panią, ostrzegam nader uroczyście, niech pani nie zawiera przyjaźni z tym panem!

Nastąpiła chwila milczenia, zatem Domini rzekła:

— Niech mi ksiądz zechce dać racje tego ostrzeżenia.

— Tego nie mogę uczynić.

— Czy dlatego, że ksiądz nie ma tych racji, czy—iż nie życzy sobie powiedzieć mnie ich?

— Nie mam tych racji do dania. Racją tu moją jest mój instynkt. Nie wiem nic o tym panu. Żałuję go. Będę się modlił za niego. Bowiem on potrzebuje modłów, tak jest, potrzebuje. Ale pani jest tu kobietą bez opieki. Mówiła mi pani o sobie i uważam za swój obowiązek rzec pani, iż radzę, radzę najpoważniej, by pani zerwała znajomość z panem Androwskim.

— Czy dlatego, iż ksiądz uważa go za złego człowieka?

— Nie wiem tego, czy jest on zły, nie wiem nic o tym panu.

— Ja wiem, iż on nie jest złym człowiekiem.

Ksiądz spojrział na nią zdziwiony.

— Pani wie?—skąd?

— Mój instynkt—rzekła, zblizając się o krok i kładąc też swoją rękę na furtkę, blisko jego ręki.— Dlaczego mamy go opuszczać?

— Opuszczać go, pani?

Głos księdza Roubier zadźwięczał zdumieniem.

— Tak jest. Rzekł ksiądz, iż on potrzebuje modłów. Wiem o tem. Ale niech mi ksiądz powie, czyżnajszczerszemi, najzbawienniejszemi, najprędzej trafiającemi do nieba nie są czyny ludzkie?

Ksiądz nic nie odpowiadał przez chwilę. Spojrział na nią i zdawał się głęboko namyślać.

— POCO pani przysłała dziś

do mnie po południu pana Androwskiego?—zapytał wreszcie raptownie.

— Wiedziałam, iż ksiądz jest dobrym człowiekiem—i mniemałam, iż, jeżeli panowie zawrzecie przyjaźń, będzie ksiądz wstanie pomódz mu.

Lico jego złagodniało.

— Ja — dobry człowiek! — rzekł.—Ach!

Wstrząsnął smutnie głową, wraz z dźwiękiem, który był, jak krótki śmiech patetyczny.

— Ja — dobry człowiek! Ja, który pozwalam, iż osobiste moje uczucia, prawie nieprzewyciężone, biorą górę nad wewnętrznym poczuciem słuszności! Pani! przejdźmy na chwilę do ogrodu.

Otworzył furtkę, Domini weszła do ogrodu i ksiądz poprowadził ją dokoła domu do tylnego ogrodzenia, gdzie mogli rozmawiać najbardziej poufnie.

Wtedy ciągnął dalej:

— Ma pani słuszność. Jestem tu, bym sprawował czyny Boże, i czasami, być może, lepiej jest nawet czynić dla ludzkiej istoty, niżli się modlić za nią. Pragnę pani powiedzieć, iż czuję do pana Androwskiego niemal nieprzyzwyczajoną odrazę, odrazę, która jest silniejszą, niżli moja wola zachowania jej w ukryciu.

Wstrząsnął się zlekka.

— Ale, z pomocą Bożą, ja siebie przewyciężę. Jeżeli on tu zostanie, spróbuję zostać jego przyjacielem. Zrobię wszystko, co będzie w mej mocy. Jeżeli on jest nie-szczęśliwy—i daleki od tego, by był złym,—być może, mówię to pani pokornie, zapewniam panią, będę mógł mu dopomódz. Ale—tu lico jego i całe zachowanie zmieniły się, stały się bardziej stanowczemi, bardziej władnemi—pani nie jest kapłanem i...

— Nie, jestem tylko kobietą—rzekła, przerywając mu.

W głosie jej było coś, co go zatrzymało.

Nastąpiło długie milczenie, podczas którego przechadzali się zwolna po piasku między palmami, tam i z powrotem. Na ulicy tancerek ozwały się już tam-tam y i słychać było zoddali stłumione jęki piszczalek. Wreszcie ksiądz znowu zagadał:

— Pani—rzekł,—dziś po południu, kiedy pani przysłała do mnie, miała mi pani coś powiedzieć, czego nie powiedziała mi pani.

— Tak jest.

— Czy to miało co wspólnego z panem Androwskim?

— Miałam zamiar poprosić księdza o radę dla siebie samej.

— Moja rada dla pani była i jest—być silną, lecz nie szaloną.

— Proszę mi wierzyć, iż nie pragnę próbować być szaloną. Lecz rzekł mi ksiądz jeszcze coś, coś, co dotyczyło kobiety. Czy pamięta ksiądz?

Przystanąła, idąc za pobudką, wzięta jego ręce i uściskała.

— Niech ksiądz posłucha. Nie wiem, czym kiedy była w życiu użyteczną. Nie wiem, czym kiedy nawet próbowała być użyteczną. Żaden głos mi nie mówił: „Możesz nią być“, a gdyby nawet mówił, tak byłam zmoczona rutyną i smutkami, iż sądzę—nie byłabym go słyszała. Lecz tu jest inaczej. Tutaj nie jestem zmoczona. Tutaj mogę słyszeć. I — proszę przypuścić, że po raz pierwszy mogę być pożyteczną. Czy rzekłby mi ksiądz: „Nie próbuj!“ Czy mógłby mi to rzec ksiądz?

Ksiądz stał, trzymając ją za ręce i patrząc w jej twarz przez chwilę. A potem rzekł, napoły smutno, napoły żartobliwie:

— Pani moja! Widocznie zna pani siły swoje najlepiej. Widocznie najpewniejszym pani przewodnikiem duchowym jest pani własne serce. Kto to wie! Tak jednak, czy owak, nie przyjmie pani rady ode mnie.

Wiedziała teraz, co było prawdą i przez chwilę była jakgdyby zawstydzoną.

— Niech mi ksiądz wybaczy—rzekła.—Ale—to jest dziwne, i może się zdawać śmieszne, a nawet nierozsądne—odkiedy jestem tu, mam wrażenie, iż to, co się staje, jest jakgdyby naprzód przygotowanym, jakgdyby stać się tak miało. I to samo czuję także i co do przyszłości.

— Fatalizm hrabiego Anteoniego! — rzekł ksiądz z odcieniem irytacji i zniecierpliwienia.—Znam to. Jest on tu duchem przewodnim w tym kraju. I pani także idzie pod jego władzę. Ale proszę się strzedz! Przybyła tu pani do krainy ognia—i mniemam, że i pani sama jest z ognia.

Przez chwilę widziała w jego oczach wyraz fanatyczny. Otworzył usta, jak gdyby chciał wylać na nią nowy potok słów gromkich, palących. Lecz wzrok ten wraz zagaśł—i już szli dalej wolno, jak dwoje przyjaciół.

Gdy Domini szła do hotelu, wiedziała już, że ksiądz Roubier nie może dać jej rady zbawiennej, jakiej była pragnęła, i iż, być może, żaden ksiądz nie był jej mocen dać. Serce jej było w odmęcie i zdało się jej, iż jest gdzieś wśród tłoku.

Batucz czekał już u drzwi hotelowych, z wyrazem starannie skruszonym i z gotowością zasobną do

kłamstwa. Nocy tej chwyciła go gorączka — i oświadczając to, podniósł swe ręce, które poczęły drżeć, jak liście, smagane wiatrem. Teraz dopiero mógł dźwignąć się z łoża boleści i, pomimo zniekrania i rozbitcia, przyczołgać się do stóp swej pani, by wyżebrać od niej przebaczenie.

Domini udzieliła mu tego przebaczenia z roztrągnięciem niedbałym, co widocznie zadrasnęło jego ambycję. Kiedy już wchodziła do hotelu, rzekł jej:

— Irena wychodzi za mąż za Hadiego, proszę pani.

Od czasu zatargu w domu tańczerki i jej ofiara, byli pod kluczem.

— Wychodzi za mąż, przedtem targnąwszy się na jego życie? — rzekła Domini.

— Tak jest, proszę pani. Kocha go tak, jak drzewa palmowe kochają słońce. On weźmie ją do swego mieszkania, i będzie nosiła zawój na twarzy, i będzie pracowała na niego i krokiem już nie ruszy się z domu.

— Co? Będzie żyła życiem kobiet arabskich?

— Naturalnie, proszę pani. Ale z drugiej strony mieszkania Hadiego znajduje się taras na dachu, i Hadī pozwoli jej tam od czasu do czasu zażywać powietrza, wieczorami lub kiedy gorąco.

— Musi kochać bardzo swego Hadiego.

— Bardzo. W przeciwnym razie po cóżby go chciała zabijać?

Otóż to afrykańska miłość — pchnięcie nożem i zawój na twarz! Myśl o tem wprowadziła jeszcze więcej komplikacji do nieładu, jaki był w jej umyśle.

— Przyjdź po obiedzie, Batucz — rzekła.

Czuła, że musi coś zrobić ze sobą, pójść gdziekolwiek tego wieczoru. Nie mogła tak pozostać w bezczynności.

Batucz wyprostował się i wytężył swoją pierś szeroką. Wyraz uległy, pochlebny, ustąpił miejsca ważności; i gdy tak wsparł się o biały słup arkady, zarzucił pompacyjnie dokoła swej osoby obszerny swój burnus i łysnął ku niebu,

urzął już w wyobraźni sztukę złota pięćcio-frankową, migocącą w tarczy księżycowej.

Ksiądz nie przyszedł dnia tego na obiad, lecz Androwski siedział już przy swym stoliku, kiedy Domini weszła do sali jadalnej. Powstał ze swego siedzenia i uklonił się obyczajnie, lecz nie przemówił do niej. Pomna na jego wybuch ranny, uprzytomniła sobie podejrzenie, jakie zrodziło się prawdopodobnie w jego umyśle na zasadzie jej wtórej rozmowy z księdzem, i obecnie nie była już wolną od uczuć przygnębienia, które prawie graniczyły z winą. Bowiem obecnie rozprawiała przecież z księdzem o Androwskim, wymieniała jego nazwisko, a czyliż nie było to prawie ze obroną jego, kiedy mówiła: „Ja wiem, że on nie jest złym człowiekiem“? Raz czy dwa podczas obiadu, kiedy oczy jej spotkały się na chwilę z oczyma Androwskiego, zdawało jej się, iż jak gdyby on musiał wiedzieć, poco ona chodziła do mieszkania księdza, i iż gniew ciągle w nim wzbierał.

DCN.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Polonica.

× W czasopiśmie niemieckim „Das literarische Echo“ p. Józef Flach informuje treściwie czytelników niemieckich w „Liście polskim“ o ruchu literackim u nas. Na początku listu pisze o obchodzie rocznicy zgonu Słowackiego, o skromnym uczczeniu pamięci Wł. L. Anczyca, o ustąpieniu z katedry profesorskiej St. Tarnowskiego. Dalej wspomina o kampanii, rozpoczętej przeciw W. Feldmanowi, o sędzie, urządzonym nad Ewą Pobratyńską, i w końcu daje krótkie notatki o „Dumie o Hetmanie“ Żeromskiego, o ostatniej części „Chłopów“ Reymonta, o „Dzieciach“ Prusa, o „Wirach“ Sienkiewicza, o Weysenhoffie, Żuławskim, Kasprowiczu, Rydlu i o „Lamusie“.

× Nowa książka o Chopinie wyszła w Paryżu p. t. „Chopin. Vie et oeuvres“. Tę pierwszą w literaturze francuskiej monografię o Chopinie napisał p. Elie Poirée, a materiały do niej zaczerpnął zarówno z dzieł biografów polskich mistrza — Karasowskiego, Karłowicza, Kleczyńskiego, Szulca, Wodzińskiego i Hoesicka, jak i z dokumentów, udzielonych przez sekcję imienia Chopina przy Warszawskim Towarzystwie Muzycznym. Pierwszy rozdział książki poświęcony jest biografii mistrza, następnie sześć obejmują szczegółowy rozbiór dzieł i charakterystykę twórczości Chopina. Uzupełniają książkę fotografie mistrza, jego wizerunki, podobizny miejscowości, z jego urodzeniem i pobytem związanych, oraz jego pomnika na cmentarzu paryskim.

Z literatury francuskiej.

× Abel Hermant, „Wyzwoleni“. („Les Affranchis“). Powieść społeczna jest specyalnością p. Hermanta. Napisał już sie-

dem tomów, którym dał ogólny, nie pozabawiony pretensjonalności tytuł: „Mémoires pour servir à l'Histoire de la Société“. W tomie ostatnim, „Wyzwoleni“, ów tytuł znacznie mniej jest usprawiedliwiony, niż w poprzednich. „Pamiętniki“ służą tylko za ramy zewnętrzne dla dowolnego połączenia towarzyskich skandali paryskich. I tutaj, jak zwykle, celuje Hermant subtelną ironią i trafnym dowcipem i przy ich pomocy wykazuje dosadnie, że lekkomyślne przygody miłosne nie mogą zmienić charakteru człowieka. Bohaterami książki są: młody arystokrata (ks. Robert Broglie), który zaślubił pokojówkę, i kapłan (ks. Delarue), który upozorował, że go zamordowano, uciekł do Belgii z młodą nauczycielką, poczem wrócił do klasztoru.

× Walenty Mandelstamm. „Aviator“ („Un aviateur“). Powieści przyszczości należą niemal z konieczności do dziedziny społecznej, bo kto zabiera się do przepowiedni, ma prawie zawsze szczęście lub nieszczęście całego społeczeństwa na oku. P. Mandelstamm wyprzedza wynalazek zupełnie już wydoskonalonego i do użytku zdolnego przyrządu do latania i wiąże go z sentymentalną przygodą miłosną, która kończy się tragicznie. Autor zastosował w powieści swojej liczne szczegóły techniczne, dotyczące dokonywanych obecnie prób z aeroplanami, i przedstawił je jasno, zrozumiale dla każdego profana.

Z literatury niemieckiej.

× Herman Esswein. „August Strindberg w świetle swego życia i dzieł swoich“ („August Strindberg im Lichte seines Lebens und seiner Werke“). Nie jest to biografia właściwa, z rodzaju tych, które najpierw mówią o zrodzeniu zewnętrznych i wewnętrznych biegu życia poety, przechodząc następnie do jego indywidual-

ności. Esswein przytacza dane zewnętrzne o tyle tylko, o ile są nieodzowne do zrozumienia właściwości duchowych; chodzi mu przedewszystkiem o możliwie plastyczny, w wielkich ale dobitnych zarysach skreślony obraz osobistości duchowej. Trudnemu zadaniu sprostał w zupełności — uwidocznił jasno bogate skarby tego genialnego umysłu, przyczem jednak nie wpada w jednostronny podziw lub cześć bałwochwalczą dla Strindberga; widzi doskonale wielkie słabe strony człowieka. Wartość książki, która może uchodzić za wzór pracy psychologiczno-analitycznej, powiększają jeszcze głębokie, organicznie w nią wplecione uwagi o sprawach ogólniejszych: o odmianach twórczości poetyckiej, o ruchu kobiecym, o stosunku człowieka nowoczesnego do przyrody.

TREŚĆ NUMERU 34-go.

Emilia Plater. Wacław Gąsiorowski.
Marzyciel. Władysław St. Reymont.
Stratonika. Juliusz Zeyer.
Ogród Allaha. Robert Hichens.
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie;
1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:
Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza. № 8

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie